

Manuel Langer

Współczesny, dominujący system społeczny, niezależnie jaką nazwą się posłużymy dla zasugerowania perspektywy i ujęcia – czy będziemy mówić o neoliberalizmie, liberalnej demokracji, czy po prostu o kapitalizmie – dla szerokiej opinii publicznej, bardziej niż w rozbudowanych wizjach, mieści się w hasłach, takich jak m. in. „kult pieniądza”. Wyrażenie to, jak wszelka „mądrość uliczna”, jest chwytliwe, ale i lapidarne, pobieżne, można by powiedzieć: błahe. Jakkolwiek, jak wiele tego typu powiedzonek, jest niezwykle prawdziwe i paradoksalnie, pomimo swej oczywistej niepowagi, do poważnego zastanowienia się skłania (ot, typowy psikus potocznego, ale za to zuchwałego sformułowania).

Pieniądz nie jest wartością. Pieniądz to tylko papierek, któremu jakąkolwiek treść nadaje dopiero dobro, które można nań wymienić. Pieniądz jest typowym narzędziem, jest najzwyczajniej jedynie swego rodzaju ułatwieniem, dzięki któremu nie musimy bezpośrednio jednego dobra wymieniać na drugie, ma charakter tylko i wyłącznie funkcjonalny. Wydaje się to oczywiste, prawda? Jednak rzeczywistość wymyka się tej oczywistości, czasem poprzez formy nader subtelne. Nie mam bowiem na myśli jedynie ludzi, których z łatwością można dostrzec, zazwyczaj nawet gdzieś w swym najbliższym otoczeniu – ludzi, dla których zarabianie pieniędzy jest motywacją samą w sobie, którzy nie wybiegają poza nią, którzy zdobywają pieniądze po to by... mieć pieniądze. Problem w tym, że w wyniku codziennych interakcji społecznych wielu „zwykłych” ludzi, zazwyczaj w pełni siebie tego nie uświadomiwszy, przestaje myśleć co będzie mogła nabyć za zawartość swego portfela, a zaczyna się cieszyć samą bytnością pieniędzy w tymże: tak jakby była to dla nich intymna bliskość kogoś co najmniej lubianego. Naiwnością jest myśleć, że można żyć w świecie zdominowanym przez określoną ideologię, pośród praw, jakie narzuca codziennej egzystencji i uważać, że w wyniku tej permanentnej styczności w ogóle się nią nie nasiąka. Jeszcze większą naiwnością, wynikającą może właśnie z nieświadomej absorpcji owego porządku, jest mniemanie, że stworzy się alternatywę dla tego świata w ramach jego własnej percepcji i w zgodzie z jego prawami. Ponieważ kapitalizm wyniósł pieniądz na piedestał, na którym w innych czasach znajdowały się zawsze idee lub Bóg/bogowie, odwrócony został pewien porządek rzeczy. Ba! Odwrócony to bardzo delikatne słowo –wywrócony do góry nogami. Narzędzie przerosło wartości, których realizacji miało służyć, funkcja wyrugowała podmiot i obwieściła, że sama nim jest. Nieboskłon, na którym króluje nam Bóg-pieniądz, rozciąga się więc także ponad sferą niematerialną: określa ludzi, ich myśli i zachowania nie tylko w momencie gdy nabywają jakieś dobro, ale i daleko poza tą relacją – w sferze recepcji myśli typowo intelektualnych. Wskażmy tutaj pokrótce na dwa zjawiska komplementarne wobec „kultu pieniądza”, podległe mu i dobrze oddające nakreśloną tu perspektywę: postmodernę jako nurt formujący światopogląd, oraz stosunek do demokracji. Postmodernizm w swoim najbardziej „powszechnym” wymiarze (a jest to wymiar, który – tak jak w przypadku każdego poprzedzającego go prądu – zdecydował o jego obecnym prymacie i popularności) jawi się przede wszystkim jako myśl niezwykle użyteczna wobec dominującego systemu społeczno-politycznego i jego status quo. Wielość narracji, głoszenie równorzędności tychże, nie zaowocowało bynajmniej zrodzeniem systemowych alternatyw, ale za to świetnie się sprawdza w pacyfikowaniu i „równaniu w dół” każdej takowej – w imię owej specyficznej „demokratyzacji”, która rzuciła w błoto idee (jako że polityka na nie nakierowana jest przecież winna II WŚ!), która uderza we wszelką strukturę hierarchiczną i która podważa sens podporządkowania się wszelkim „wyższym celom”[1]. Postmodernizm wątpi, nie tyle jest czymś samoistnym, co raczej stosunkiem do poprzedniego prądu – nie tyle wyrazem czegoś

podmiotowego, co funkcjonalną postawą.

Trudno byłoby nie dostrzec, że w sferze osobistej znakomicie sprawdza się jako intelektualne podłoże dla samozadowolonego z siebie egoisty, pozwalając mu w nic nie wierzyć. Aktualna myśl proponuje mu skupienie się na procesie – na ‘jak?’ a nie na ‘co?’, ale bynajmniej nie dla uwzględnienia perspektywy moralnej, tylko... z fascynacji samym procesem. Czy powinniśmy zatem naprawdę się dziwić żalonym twierdzeniom w rodzaju tych wysuwanych w dyskusji nad ruchem „Occupy Wall Street”, że sam proces (tj. protest przeciwko systemowi) jest sukcesem? Walka o demokratyzację to podstawowe hasło jakie pojawiło/pojawia się na „sztafardach” wszystkich znaczących obecnych ruchów społecznych. W hasła „prawdziwej” demokracji można nie tylko upatrywać ich wspólnego mianownika, ale także zasadę warunkującą ich struktury. Ów stosunek do demokracji bardzo niebezpiecznie przypomina jednak wielbienie złotego cielca – fałszywego Boga. Obecne ruchy społeczne zdają się postrzegać demokrację nie jako metodę, która wydaje im się najodpowiedniejsza i najskuteczniejsza w walce o wartości (Sprawiedliwość, Prawdę, Piękno, czy jakiegokolwiek inne), ale jako cel sam w sobie, jakieś niedorzeczne, uniwersalne remedium, które samo ze swej natury implikowałoby wszystkie te wartości. Można się kłócić, czy demokracja jest formą rządów najbardziej sprzyjającą realizacji pewnych szczytnych ideałów ludzkości, ale – na litość boską! – jest właśnie tylko formą, nie implikującą sama przez się żadnej treści. Prześmiewczo wobec wołań aktywistów historia polityczna ostatnich kilku wieków, a przynajmniej jej część odnosząca się do Zachodu jest wszak historią demokratyzacji państw, a liberalna demokracja jest jedynym znanym, ustabilizowanym efektem końcowym. O jakim ustroju właściwie śnią protestujący? I dlaczego skupiają się na formie rządów, a nie na wartościach?

Ponadto owe ruchy społeczne wbrew szumnym deklaracjom, ale za to w zgodzie z prawidłami historii, nie reprezentują 99 proc. społeczeństwa tylko niewielką awangardę, która – co smutne – nie byłaby „widzialna” gdyby jej szeregow nie zasiły tłumy, sfrustrowane wynikłą z ekonomicznego kryzysu własną marginalizacją. Tłumy, co do których można mieć zasadne obawy, czy interesuje je coś więcej niż własny i to mocno praktyczny interes – zgodnie z indywidualistycznym, odwróconym od idei i nastawionym na funkcjonalność postmodernistycznym duchem. Sukces, jakim jest absorpcja tych pretensji wynika z arcydemokratycznej struktury tychże ruchów, w której każdy pojedynczy głos wydaje się naprawdę istotny (wielki szacunek za to), ale która właśnie przez to wydaje się dużo bardziej konglomeratem pojedynczych interesów, niż, jakkolwiek złożonym, to jednak spójnym organizmem. Ciało tym przede wszystkim brakuje głowy, tudzież chociażby: głów, miliony gardeł mogą wrzeszczeć „dość”, ale tak ot sobie nie odkrzykną spójnie czegoś na pytanie: „czego chcemy?”.

Nie można oczekiwać, że, bezwładne, postawią krok w jakimkolwiek kierunku. Ale czy tego w ogóle chcą? Ich metoda polega na walce o upodobnienie świata do własnej struktury – walce o demokratyzację. Powszechne szczęście nastąpi przecież zaraz potem po dokonaniu się tego procesu, „prawdziwa demokracja” nie jest narzędziem tylko wartością, sama w sobie implikuje humanistyczne ideały, czyż nie? O tym jak schorowaną percepcję przekształcającą narzędzie w cel sam w sobie reprezentują obecne ruchy społeczne świadczy pewne ich charakterystyczne wynaturzenie, które zna każdy, kto odbył choć parę rozmów z aktywistami: opowieści o tym jak zebrawszy się w danej grupie, grupa ta utknęła w impasie kilkugodzinnego sporu nie o wytyczenie najbliższych działań, tylko o... porządek, sposób, zasady obradowania! Zdrowy rozsądek pozwala jedynie załamać ręce. Jednak odsuwając go na bok i podchodząc do sprawy „na zimno” trzeba stwierdzić, że ów gest z ich punktu widzenia może wydawać się niezasadny,

zajmowali się przecież tym, co rzeczywiście istotne, co najważniejsze: określaniem w demokratyczny sposób demokratycznej procedury!

Dzisiejsza walka radykalnej lewicy, czy też po prostu lewicy, która w wielu przypadkach nawet nie chce zgodzić się na to imię odbywa się na razie całkowicie w ramach porządku, który określa hasło „kultu pieniądza”[2]. Świat jego zasad i jego praw: narzędzi wyniesionych do rangi wartości, przy degradacji tychże, negowania hierarchii (wszak w idealnym świecie pieniądza to co niematerialne powinno być dlań tak samo łatwo dostępne jak reszta dóbr) i negacji jako podstawowej postawy w ogóle. Rewolucję społeczną Zachodowi nie przyniesie postmodernistyczna krytyka i bezmyślna czołobitność przed świętą krową demokracji. Musimy żądać takiej krytyki, której „nie!” jawi się jedynie jako punkt wyjściowy, a nie ostatni przystanek; szanować tylko taką która niesie z sobą pozytywną wizję. Stosunek do demokracji jest naszym największym problemem. Trzeba przestać dzielić ją na „falszywą” (tj. najczęściej tą realnie istniejącą i na wiele sposobów opresyjną) i „prawdziwą” (zazwyczaj zaistniałą, jak dotąd, jedynie w umysłach), musimy przenieść punkt ciężkości i przestać pytać, czy coś jest demokratyczne, tylko czy służy Prawdzie, Dobru, Sprawiedliwości – innymi słowy: osądzać narzędzie podług jego przydatności, a więc i kategorycznie odrzucać je tam gdzie zdaje się nie stanowić podpory, a co więcej – przeszkodę na drodze idealistycznych (nie bójmy się tego słowa i nie bójmy się żyć pomiędzy wielkimi słowami) dążeń. Czy jesteśmy się w stanie przeciwstawić skuteczniej „kultowi pieniądza”, niż poprzez odrzucenie panowania narzędzi, tej protezy ducha? Dlaczego nazywam je protezą? Proteza jest podrzędnym substytutem czegoś, czego potrzebujemy, aby czuć się „pełnym”, zdrowym, czymś, co stara się przykryć kalectwo. Systemowi udało się zdegradować wartości w dyskursie społecznym, ale jednak wciąż musi się do nich odwoływać, obudowywać nimi hasła demokratyzacji, uzasadniać nimi otwarcie rynków, cięcia, itp. – słowem: nie jest w stanie wyrugować je nie tyle z języka, co z – wydaje się niezbywalnej – sfery intuicyjnych odczuć każdego, o którą (mając gdzieś definicje) zawsze się przecież tak naprawdę opierały. Jednym ze słabych punktów dominującego systemu mogącym nam otworzyć drogę ku nowemu językowi, obcemu obecnemu i nakierowanemu na wartości jest kwestia narracji. Obecnie obowiązujący w przekazie medialnym model zasadza się na odejściu od podawania informacji nieokreślających dokładnie ujęcia, które następnie trzeba we własnym umyśle przetworzyć i odpowiednio „ułożyć”, tylko na serwowaniu „dania gotowego”, które nie tyle ma pobudzić, czy zasugerować dane emocje, co bezpośrednio je dostarczyć. Wymusza to daleko posuniętą jednolitość przekazu i sprawia, że „czarno-biała informacja” nie tylko wydaje się atrakcyjniejsza, ale i paradoksalnie bogatsza od „kolorowej” – dania, które obecny masowy widz nie określiłby jako interesujące i bogato przyprawione, tylko jako mdłe i już niezrozumiałe. Czy grupa lub grupy, które by chciały na szeroką skalę przywrócić dyskurs Wielkich Narracji, mogłyby – przynajmniej w tym aspekcie – prosić się o dogodniejsze warunki? Ale to już materiał na inny artykuł.

***Manuel Langer***

**Odnośniki:**

[1] Cóż miłszego korporacjom niż rozdrobnienie i indolencja, które są efektem; niż pozbawione ideologicznego kierunku – a więc najbardziej podatne na zmienne, aktualne uwarunkowania i z konieczności sprowadzone do myślenia jedynie o najbliższym jutrze – państwo.

[2] Może właśnie głównie stąd, a nie tyle z niechęci wobec porażki tradycyjnej marksistowskiej

lewicy wpływa niechęć owych ruchów wobec tego typu określenia się.